

## Rzeka (fragment listu)

Nie, morza naszego oczywiście nie zapomniałem, lecz teraz mieszkam nad rzeką i nauczyłem się kochać rzekę. Jest ona jakoś czulsza, łagodniejsza, bliższa, bardziej intymna – jeśli tego pragniesz.

Morze z natury swojej jest bezkresne, natomiast rzeka ma brzegi. A wiesz, brzeg – cały w zieleni, gęstej i pysznej, w soczystej trawie... Gnące się gałęzie zwisają nad wodą; i wszystko – i gałęzie, i trawa, i niebo – wszystko odbija się w spokojnej, płynącej cicho i leniwie wodzie. Wiesz, z rana, gdy trawa nabrzeżna jest cała w rosie i każdy krzak oblewa cię deszczem diamentowych kropeł, spowita w oparach rzeka, jeszcze nierozbudzona i chłodna; i jeszcze niewzruszone powietrze, pełne rzecznej świeżości, które noc nasyciła zapachami rzeki i traw – ile tu radości, szczęścia, błogostanu. A gdy wzejdzie słońce i sygnie promieniami i przygrzeje, i wszystko się ocknie i ożyje, i rzeka zrzuci z siebie resztki snu, otrząśnie się, i ożywiona i oblana słońcem zaigra pośród weselących się brzegów. Potem słońce wspina się wysoko i – w znoju – palić będzie ziemię.

Jak wtedy dobrze jest nad rzeką! Cała w żywym złocie słonecznego blasku, radosna, rozedrgana i rwąca, skrzy się w gorących promieniach; i tylko przy samym brzegu, całkowicie uwolniona od reszty rzeki, zatrzyma się w spokojnej, chłodnej, zielonej zatoczce. Znajduje się w cieniu – gałęzie skradły jej słońce i to nie ona będzie z nim dokazywać. Spokojna, chłodna, zielona zatoczka – w niej cały urok. To ona wabi, przyzywa swoim chłodem; w niej cała rzeczna bajka, w niej cały czar.

A potem słońce zrobi się wielkie i czerwone, jeszcze chwila i będzie gotowe zatoczyć się za ocienione zielenią brzegi i – w końcu – zagasnąć. I zrobi się cicho i majestatycznie... Brzegi zaczną przesłaniać jakiś smutek – zapowiedź mgły – i nad pogrążającą się we śnie wodną gładzią zapanuje pełen pokój. Teraz rzeka, powolna i ociężała, w całej swej szerokości zatrzyma się w sennych brzegach i na jej, teraz też już ospałej powierzchni, rodzić się będą tysiące drobniutkich kręgów. To zapowiedź znacznie większych, tworzących się w dźwięcznym chlupocie. Wieczorny płas.

Potem noc i głęboki sen... Drancy, 1930 r.

*Awraam Isaakowicz Kuszul.*

*Tłumaczenie z j. rosyjskiego Konstanty Pilecki*

## Która? (historia prawdziwa)



18 maja 1947 roku, Paryż, spotkanie marynarzy przy rue Boissière. Obiad weteranów spod Port Artur: świętują zwycięstwo rosyjskiej floty 2 maja 1904 roku – zniszczenie trzech japońskich pancerników przez nasze miny. Przy skromnie zastawionym stole zebrało się ośmiu starców: najstarszy – 75 lat, najmłodszy – 67. Przestrzegana jest hierarchia według wieku i rangi, ustalona przez bojowników dawnej sławy, dawnego znoju, dawnych cierpień. Lekko podchmiełeni.

Niegdyś młody i wrażliwy podporucznik artylerii, potem wybitny pułkownik, a teraz ociężały, stary ślusarz, przemówił jakby sam do siebie:

– Jednej zagadki, którą zadano mi jeszcze w ostatnie dni oblężenia, nie rozwiązałem do dzisiaj.

– A jakaż to zagadka? – ospale zapytał siedzący obok staruszek – chudy, ogolony, z nastroszonymi wąsami – dolewając do swojej szklanki taniego czerwonego wina.

– Szpital Czerwonego Krzyża był przepełniony: na dwa zsunięte łóżka kładziono trzech rannych, również na oddziale oficerskim. Był to czas listopadowych szturmów na Wysoką<sup>1</sup>. Jeszcze dosyłano rannych. Zaczęto wypisywać podleczonego, a mnie, niemogącego chodzić bez kul, przeniesiono do wolnego pokoju w mieszkaniu sióstr miłosierdzia.

Tak opowiadanie swoje rozpoczął Diakonow.

– Aaa..., siostry, kobiety? Bardzo ciekawe. Odgrywały one wtedy w naszym życiu ważną rolę – zauwa-

<sup>1</sup>Chodzi o tzw. Górę Wysoką, nazywaną również wzgórzem 265, o którą między 27.11. a 05.12.1904 toczono zacięte, bardzo krwawe i wyniszczające walki (przyp. tłum.).

<sup>2</sup>Miczman – dawniej najniższy stopień oficerski w rosyjskiej marynarce wojennej (przyp. tłum.).

żył dawny miczman<sup>2</sup>, a teraz przysadzisty, smagły, siwiejący brunet, kierowca taksówki.

Całe starsze towarzystwo ożywiło się i zaczęło nasłuchiwać.

Diakonow dolał wszystkim pijącym czerwonego wina i ciągnął dalej:

– Razem ze mną, w tym samym pokoju, leżał na drugim łóżku kapitan 2-go stopnia Karcew, też ranioty i dochodzący do zdrowia. Miałem dwadzieścia dwa lata, a on – około czterdziestu. Wszystkie siostry wychodziły na nocny dyżur do szpitala, z wyjątkiem dwóch, które – kolejno – zostawały na noc u siebie i odpoczywały. Tego wieczora na odpoczynek zostały dwie młodzieńskie damulki, jedna ładniejsza od drugiej. Jedna była brunetką, druga – blondynką. Po nakarmieniu i obsłużeniu nas obu, pogasiły światła i – życząc dobrej nocy – odeszły.

Późna jesień – noc przyszła wcześniej, ciemna. Bombardowanie nocne przebiegało niemrawo, z rzadka błyskały za oknem ognie rozrywających się dużych pocisków. W pokoju ciemno, choć oko wykol. Było chłodno, otuliłem się kołdrą i zasnąłem. Nagle czuję, jak czyjaś ręka przesunęła się pod moją szyję, objęła, i czyjeś delikatne usta pocałowały mnie cichutko. Jednocześnie pod kołdrę wsuwać się zaczęło ciepłe, sprężyste kobiece ciało. Poczulem na sobie twarde piersi, potem nogę – jedną, drugą... Młoda kobieta, która znalazła się pod moją kołdrą i trzymała mnie w objęciach, starała się przecisnąć niżej... Robiła to bezszelestnie i delikatnie. Zrozumiałem. Bojąc się rozbudzić mojego leciwego sąsiada, odwzajemniałem się z tą samą ostrożnością, tą samą delikatnością pieszczot i cichością ruchów. Zapadliśmy w bezgłośną namiętność, bojąc się spłoszyć nasze szczęście.

W czasie wojennej zawieruchy, gdy życie wisi na włosku, człowiek mimowolnie myśli: może to ostatni uśmiech losu? Wtedy nie waży się ryzyka i bezpieczeństwa. Nigdy nie zapomnę tej czerni ciemnej nocy i niewyobrażalnie wręcz jasnego blasku, jaki niosą młodość i miłosne uniesienie. Czułem, że moja partnerka znajdowała się w takim samym szczęśliwym upojeniu. Gdy po długiej listopadowej nocy za oknem zaczęło szarzeć, czarodziejka poruszyła się, usiłując wyslizgnąć się z pościeli. Zatrzymałem jeszcze moje szczęście... Potem bogini mnie opuściła, stanowczo i bezszelestnie. W ciemności ledwo zauważyłem jej znikającą za drzwiami sylwetkę, odwróciłem się i zasnąłem.

Rano, przecierając oczy, pomyślałem, że widziałem sen. Potem starałem się domyślić, która z dwóch? Lecz nawet najdrobniejszym drgnieniem twarzy nie zdradziła się ani blondynka, ani brunetka. Zaprzagnąłem bardzo powtórzyć nocne marzenie.

Napomknąć czarnulce – zdradzić blondyneczkę. Napomknąć blondyneczce – zdradzić czarnulkę. Więc która – pozostało to zagadką.

Po dziesięciu latach, w 1914 r., w Petersburgu uroczysty obiad dla weteranów armii i floty spod Port Artur. Zająłem przy stole należne mi, skromne miejsce. Widzę, z daleka patrzy na mnie jakiś wysoki, zwalisty admirał. Energicznie ruszył w moją stronę.

– Pozwólcie usiąść obok was. Pamiętajcie, leżaliśmy w jednym pokoju u Czerwonego Krzyża, w Port Artur?

Poznałem w admirale mojego sąsiada. Był on już dyrektorem morskiego korpusu.

– Powiedzcie, mój drogi... rzecz miniona. Kto to była ta dama? Przecież ja wtedy sobie bok odleżałem, bojąc się spłoszyć wasze szczęście. Brunetka czy blondynka?

– Wasza ekscelencjo, ja do dzisiaj nie wiem która...

*Spisał doktor medycyny Jakov Osipowicz Kefeli  
na podstawie opowiadania  
podpułkownika Diakonowa*

*Tłumaczenie z j. rosyjskiego Konstanty Pilecki*



*Jakov Osipowicz Kefeli*